

SPIS TREŚCI

Przedmowa	9
1. Narodziny: Naga prawda	16
2. Szkoła: Obecność usprawiedliwiona	31
3. Służba: Młodziankowie w uniformach	41
4. Kłopoty: Ojciec na dyżurze	51
5. Dziedzictwo: Śladami Tomka Sawyera	61
6. Praktyki: Jak Stefek został chlebowym piratem	70
7. Smykałka: Tata wszystko umie	77
8. Rywalizacja: Nie oblizuj noża	83
9. Sport: Worek treningowy	87
10. Praca: Kto z kim kogo zdradza	98
11. Męskość: Jak ojciec z synem	102
12. Mój ojciec: Dandys Jim	107
13. Dowcipy: Humor w genach	118
14. Niezależność: Wożąc panią Doocy	123
15. Seks: Motylki, bocianki i gumowe... hmm, kaczuszki?	134
16. Niepokoje: Tylko nie wpadnij do krateru	142
17. Alkohol: Strzemienny pod palmami	152
18. Zamiana ról: Tata w tarapatach	158
19. Pożegnania: Dzieci w wielkim świecie	165
20. Studia: Mogę zapłacić kartą rabatową?	173
21. Duma: Tato, nie przeginaj	184
22. Emocje: Tacie splywa makijaż	189
23. Kamienie milowe: Już nie na wozie, pora pod wóz	195

24. Śladami przodków: Co się stało w Dublinie, zostanie w Dublinie	206
25. Coś się kończy: Dobranoc, gwiazdko	218
26. Lista: Czego każdy ojciec nauczyć powinien	224
Podziękowania	227

PRZEDMOWA

Czemu – spytacie – ten facet uważa się za eksperta w temacie ojcostwa? Owszem, przez pewien czas byłem gospodarzem dość popularnego talk show dla rodziców. Cóż, człowiek musi jeść. Ważne jest to, że z dziennikarską uwagą śledziłem zachowanie swojego ojca przez pięćdziesiąt lat. Dodajmy do tego dwadzieścia lat spędzonych w roli ojca, a otrzymamy siedemdziesiąt lat doświadczeń w tej kwestii. Niezły wynik jak na pięćdziesięciolatka, nieprawdaż? Tą żelazną logiką kieruję się także wypełniając zeznania podatkowe.

– Chciałbyś grać ojca w serialu?

Pytanie padło z ust legendarnego szefa sieci NBC, Brandona Tartikoffa. Zamierzał obsadzić mnie w roli wesołego, nieco rozkojarzonego taty w pewnym sitcomie. Niczym Bill Cosby, miałem raz na tydzień przez pół godziny prawić umoralniające gadki, puentowane niezawodnym dowcipem, przed wdzięcznym gronem urwisów, hojnie opłacanych za to, że udają moje dzieci. A i sam mogłem liczyć na godziwy zarobek. Cosby'emu drukowano specjalne czekki, bo na zwykłych nie było miejsca na te wszystkie zera.

– Steve, wypadłeś jak prawdziwy tatuś – skomentował mój występ Brandon po zakończeniu próbnych zdjęć.

Prawdziwy tatuś? Zabrzmiało to zgoła podejrzenie, bo akurat siedziałem przed lustrem, w wielkim śliniaku pod brodą, zmywając z twarzy tony makijażu. Z tego co wiem, prawdziwy ojciec rzadko się pudruje, a śliniaczek zakłada tylko na uroczyste okazje, takie jak obiad u teściowej.

Ostatecznie odrzuciłem tę ofertę i wróciłem do prowadzenia wieczornych wiadomości. Trochę szkoda, bo serial utrzymał się na antenie przez dziesięć lat. Typ, który zastąpił mnie w roli ojca, nie wyszedł na tym źle. Ostatnio żona pokazała mi jego zdjęcie w magazynie „In Style”. Stał otoczony wianuszkami supermodelek na plaży swej prywatnej wyspy i odpalał cygaro pięćdziesięciodolarowym banknotem.

Rola ojca to coś więcej niż wygląd. Prawdziwy tato to ktoś, kto dla swych dzieci jest gotów zrobić naprawdę *wszystko*. Moja znajoma, Mary, której ojciec był popularnym felietonistą w złotej erze Hollywoodu, przyszła do niego z problemem. Jej ojciec był już podówczas w „sile wieku” – kreskówkowy dziadek Simpson wyglądał przy nim jak Orlando Bloom.

– Tato, mam SM.

Wstrząśnięty ojciec przez długą chwilę szukał słów. Ruch zębatek pod sklepieniem łysej czaszki był niemal namacalny.

– Nie martw się – rzekł po chwili. – Pomogę ci się z tego wylizać. Chcesz, zadzwonię do Jerry’ego Lewisa.

Mary z osłupieniem przyjęła perspektywę wezwania do spłaty najpoważniejszego długu w show biznesie: długu wdzięczności.

– Nawet nic nie mów. Jerry jest mi winien przysługę. Podobnie jak Sammy i Dean, ale oni już nie żyją... – ciągnął ze starczym uporem niegdysiejszy reporter „Vanity” i „TV Guide”.

– Tato, fundacja Lewisa byłaby dobrym pomysłem, gdybym miała *dystrofię* – odparła Mary. – Ale ja mam *stwardnienie rozsiane*. Może znasz kogoś od Annette Funicello?

Ach, te szczegóły.

Ojcowie są mistrzami szerokiego planu. I z mistrzowskim wdziękiem myślą wszelkie drobiazgi: nazwy chorób, daty urodzin, godziny wywiadówek, ba – nawet imiona własnych dzieci są dla nich często przeszkodą nie do pokonania. Mamy nie robią takich błędów. Mimo że oboje są rodzicami, ojcowie różnią się od matek.

To z pewnością największe niedomówienie od czasów, gdy Noe usłyszał w prognozie zapowiedź przelotnych opadów.

Matki są pocieszycielkami i opiekunkami, lekką ręką rozdają bezwarunkową miłość i oddanie. Ojcowie wkraczają tylko wówczas, gdy sytuacja wymaga siły mięśni i zmysłu praktycznego, wszak nie bez powodu trzymają śrubokręt w każdej szufladzie. Romantyczni bywają tylko dwa razy do roku.

- Róże? We wtorek? - dziwiła się mama widząc ojca w prognozie. - Znów cię złapali na czerwonym świetle?

Nie wątpię, że dziewięć miesięcy ciąży jest dla mamy katorgą, ale niech spróbuje przejść kilometr z piętnastoma kilo wierzącego się dzieciaka na karku. Po takiej wycieczce prosta sylwetka bez wizyty u kręgarza jest równie zdumiewająca jak widok Mary-Kate Olsen pałaszującej ze smakiem sałatkę w restauracji.

- Tato, do której mogę być? - pytał Kain ojca Adama.

- Wróć przed dobranocką. Dzisiaj Flintstonowie.

- Ale tato...

- No dobra, spytaj mamę.

Nie to chciał usłyszeć młody Kain. W końcu, jak wiadomo, listek figowy w tym domu nosiła Ewa.

Historia dowodzi, że od zarania dziejów matki i ojcowie należą do odmiennych gatunków. Fakt faktem - młode matki wykonują swe rodzicielskie obowiązki znacznie sprawniej niż młodzi ojcowie, ale nie bez przyczyny - są zaprogramowane do macierzyństwa. Czym jest zabawa lalkami, jeśli nie praktyką bycia matką? W rzeczy samej, w dzisiejszym świecie funkcjonuje mega-sektor przygotowujący kobiety do roli matek na skalę przemysłową: tysiące czasopism, książek, kursów, audycji radiowych i telewizyjnych, których jedynym zadaniem jest instruować kobietę, jak wychować idealne dziecko. Nawet Oprah prowadzi cotygodniowe wykłady na ten temat, mimo że nigdy nie chowała własnych dzieci, nie licząc oczywiście Jerry'ego Springera.

Akt odcięcia pępownicy wpisuje młodą matkę na listę członkiń największego sekretnego stowarzyszenia na świecie. Ta świadomość pozwala mi zrozumieć ową tajemniczą więź, która otwiera mojej żonie serca przygodnie spotkanych kobiet. Ot choćby tej spotkanej w kolejce do bufetu:

- Spuchnięte kolana? Moja droga, ja miałam sześćdziesiąt dziewięć szwów po nacięciu krocza! – wyznała nieznajoma.

Malując sobie w myślach szczegóły zabiegu, zacisnąłem uda w milczącym współczuciu i wyobcowałem się z rozmowy udając zainteresowanie przystawkami.

Cóż może zrobić mężczyzna w obliczu tej globalnej konspiracji kobiet? Gdy w domu pojawia się nowy członek rodziny, facet nie ma bladego pojęcia, co z tym fantem począć. Dla mnie wyrazem ojcowskiej troski jest fakt, że nie łamię synowi ręki w ferworze zabaw, choć przecież ma zapasową. Taki los jest udziałem wszystkich ojców. Nikt nie kręci dla nas ojcowskich talk show. W „Maximie” nie znajdziemy artykułu: *Dziesięć rad na odparzenia dziecięcej pupy*. Chłopcy nie mają instruktażowych zabawek. Jeśli myślisz, że Transformersy kształcą w chłopcu ojcowskie instynkty, masz źle w głowie. Transformersy w roli przytulanki? Przecież to nawet nie zabawki. To plastikowe maszyny do zabijania! I dobrze. I niech tak zostanie.

Żona opowiadała mi, jak jej bracia, jeszcze w podstawówce, powzięli nagle i niezdrowe zainteresowanie laleczką Betsy Wetsy – jedną z tych, które moczą pieluszki. Owładnięci żądzą poznania mechanizmu magicznego oddawania moczu, wybebeszyli ją do cna. Po tym poznawczym zabiegu, wycierając koziki o mankiety koszul, odłożyli lalkę do kołyski i przykryli dla niepoznaki kołderką. Moja przyszła małżonka przez długie tygodnie po tym fakcie poila maleństwo z butelki, nie bacząc na to, że laleczka siusia pachą.

Tak więc przyszły ojciec nie może pochwalić się kompleksowym przygotowaniem do zawodu ojca. Standardem jest tu

raczej system czeladniczy: młody adept uczy się przez pilne podpatrywanie mistrza przy pracy. Naukę rozpoczyna od dnia, w którym staje się ojcem. Dla mnie osobiście był to dzień prawdziwie niezapomniany. Nie ma cienia przesady w opowieściach o tym, jak ten dzień odmienia całe życie mężczyzny. Gdy wychodziłem ze szpitala w dniu narodzin pierwszego dziecka (i to syna!), świat był inny. Niebo było bardziej błękitne, potrawy miały inny smak, piosenki w radiu były bardziej radosne i pisane specjalnie dla mnie. Miałem wreszcie swoje miejsce na tym świecie; byłem czymś ojcem!

Już niebawem będę świadkiem jego pierwszych kroków. Zrobię mu pierwsze postrzyżyny. Schowam pierwszego mleczaka do pudełka po zapalkach. Życie często płata figle; na szczęście wiem, że nie jestem Supermanem. Nie wyrzucam sobie, że nie było mnie przy tym, jak mój syn wypowiadał pierwsze słowa, bo akurat kosilem trawę. Pozostaje mi wierzyć zapewnieniom żony, że pierwsza artykułowana wypowiedź mojego potomka brzmiała: „Gdzie mój fundusz powierniczy?”.

Gdy wprowadzałem ostatnie korekty do tej książki, spytałem córkę Mary, która spędziła szczęśliwe dzieciństwo na bogatych przedmieściach Nowego Jorku, czy umie sobie wyobrazić, jak wyglądały moje szczeniące lata na odludnej farmie, hen na rozległych preriach Środkowego Zachodu.

- Nie bardzo - odparła. - Pewnie całymi dniami obierałeś kolby kukurydzy.

Spieszę donieść, że nie chowałem się w cieniu silosa zbożowego w Kansas. Uważałem dotąd, że moje dzieciństwo było raczej typowe dla całego pokolenia, ale moja córka wyprowadziła mnie z błędu. Nie miała wprawdzie bladego pojęcia o moich szczeniących latach, ale o dzieciństwie swej matki potrafiła powiedzieć wiele.

- Mama jeździła do szkoły kabrioletem, a ten siwy facet z CBS zaprosił ją kiedyś na tańce - snuła opowieść ze

szczegółami, a w jej słowach było tyle wiary i pasji, że brakowało tylko orkiestrowego tła, a miałbym już gotowy odcinek *Dynastii*.

Mary nie miała okazji wysłuchać opowieści z mojego dzieciństwa, ponieważ – podobnie jak mój ojciec – nie lubię mówić o sobie. Jedni nie lubią się przechwalać, inni nie lubią przynudzać. Gdy wracam zmęczony z pracy i siadam z rodziną do kolacji, wolę w milczeniu posłuchać o szkolnych dramatach, zamiast zamęczać wszystkich plotkami, że A wynosi materiały biurowe, a B rozwodzi się z żoną.

Opowieści zawarte w tej książce są szczerze i prawdziwe. Do tego stopnia, że wielu z was będzie się zastanawiać, dlaczego jeszcze nie zamknięto mnie za brak należytej opieki nad dziećmi tudzież za publiczne podawanie się za rodzica.

Niektórzy uważają mnie za gwiazdę – jestem wszak gospodarzem programu *Fox & Friends*. Ale w prawdziwym życiu gwiazdami są moi bliscy. Kathy, od ponad dwudziestu lat moja ukochana żona, może bez ogródek przypisać sobie *pełnię zasług* za wychowanie cudownej trójki naszych dzieci. Pora je przedstawić: panie i panowie, oto Peter, Mary i Sally, w polu adresowym pocztówek reprezentowani skrótem *PMS*.

Kolejną osobą, która rzuca swój długi cień na treść niniejszej książki, jest mój ojciec, Jim Doocy. W 2008 roku, po sześćdziesięciu dwóch latach pracy, tato udał się na zasłużoną emeryturę. Korzystam z tego faktu niepomrotnie, gdyż ma dla mnie teraz więcej czasu. Może nareszcie gadać ze mną godzinami przez telefon. Dostarcza mi cennych rad: jak wyregulować gaźnik, jakim gontem kryć dach garażu, jak przeczyścić agregat lodówki. Od zawsze miał smykałkę do mechaniki, choć muszę z bólem przyznać, że współczesna technika nieco go przerasta.

– Stephen, przesłałem ci faks – zadzwonił dziś rano. – Przeczytaj i odeślij, bo to jedyna kopia.

Mógłbym mu uświadomić, że oryginał tkwi bezpiecznie w *jego* aparacie, ale nie mam serca. Jak wielu ludzi z jego pokolenia, mój ojciec uważa, że faks jest czymś w rodzaju

transportera ze *Star Treka*, który przesyła kartki papieru na wielkie odległości, wykorzystując zjawisko zakrzywienia przestrzeni. Nie powiem mu prawdy, bo nie chcę urazić jego uczuć. Jest jedynym ojcem, którego mam. A to oznacza, że muszę być z nim szczerzy i bezpośredni mniej więcej tak samo, jak Macaroni Grill jest włoską restauracją – czyli nie za bardzo.

1

NARODZINY: NAGA PRAWDA

Ojcem zostałem 21 lipca 1987 roku. Do szczęśliwego poczęcia doszło zatem mniej więcej w dniu moich trzydziestych urodzin, więc nic dziwnego, że szczegóły tego zdarzenia zatarły się w mej pamięci.

Przez cały ostatni miesiąc ciąży moja żona narzekała na skurcze, ale lekarz prowadzący postanowił odczekać z interwencją do fali upałów. Było parno i wilgotno – jeden z tych dni, w których Angelina Jolie budzi się z myślą o adopcji eskimoskiego dziecka. Na akcję porodową stawiliśmy się z Kathy wczesnym rankiem, przy wschodnim wejściu kliniki Uniwersytetu George’a Washingtona, o kilka przecznic od Białego Domu. Niektórzy z was zapewne pamiętają te drzwi – sześć lat wcześniej nimi właśnie wwożono Ronalda Reagana po postrzale z rąk Johna Hinckleya. Zamachowiec podobno uczynił to targany gwałtownym uczuciem do Jodie Foster – cóż, owce taktownie milczą w tym temacie.

Historia mojego uczucia do Kathy jest mniej dramatyczna, ale równie romantyczna. Gdy ujrzałem ją po raz pierwszy, miała pięć lat. Nie byliśmy sąsiadami, nie chodziliśmy do jednej szkoły, nawet się nie znaliśmy. Ujrzałem ją na ekranie telewizora w roli najbardziej pożądanej kobiety na świecie – gadającej lalki Chatty Cathy firmy Mattel. Pociągnij za sznurek, a obiekt marzeń, nie otwierając ust, obdarzy cię jedną z nagranych wcześniej sentencji, domagając się uwagi i uwielbienia.

- Zmień mi sukienkę.
- Mam ochotę na herbatę.
- Pobawisz się ze mną?

Jej repertuar był dość skąpy, ale dziewczynki skakały rodzicom po głowach i tarzały się w konwulsjach, by wymóc zakup wymarzonej zabawki. Chyba dlatego właśnie nasze pokolenie nie cierpiało na otyłość. Tak więc ujrzałem Kathy po raz pierwszy jako pięciolatek, na ekranie czarno-białego telewizora marki Zenith w odludnym zakątku stanu Kansas, nie wiedząc jeszcze, że za ćwierć wieku Chatty Cathy stanie ze mną na ślubnym kobiercu.

Moja przyszła żona została dziecięcą gwiazdą ekranu dzięki szczęśliwemu połączeniu geografii, ambicji matki i własnego wrodzonego wdzięku. Mieszkała z rodziną w Encino, uroczej miejscowości w dolinie San Fernando, w której nie sposób było przejść chodnikiem nie potykając się o celebrytę. Judy Garland, Tim Conway i Walt Disney mieszkali tuż za rogiem. Ale pałacho takie sławy, wszak w Encino miał swą rezydencję największy gwiazdor kina, sam Wielki Książę ekranu. Pewnego razu moja przyszła ukochana, towarzysząc mamie na zakupach, zapragnęła batonika.

- Kup, mamó, kup - jęczała przy kasie.

Lillian, moja przyszła teściowa, dzielnie opierała się tej presji, co - jak wiadomo - tylko potęguje łaknienie dziecka. Wreszcie stojący za nimi klient nie wytrzymał i chrząknął znacząco. Lillian obróciła się na pięcie z furją, gotowa zbesztać intruza, i zamarła w pół obrotu. Z góry, stalowym spojrzeniem, mierzył ją nie kto inny, jak sam John Wayne!

- Młoda dama pragnie słodczy, proszę jej kupić - zaordynował Książę.

Ponieważ Lillian wciąż trwała w niemym stuporze, dzielny kowboj dodał:

- Proszę - tonem, od którego bandyci padają trupem w szary kurz przed saloonem.

Transakcja została dokonana bez cienia sprzeciwu.

Naprzeciwko teściów mieszkała najslynniejsza para amerykańskiej telewizji, Roy Rogers i Dale Evans. Od poniedziałku do piątku sąsiedzi dzielnie bronili hollywoodzkich atelier przed agresją dzikich czerwonoskórych, a w przerwach śpiewali ballady przy ognisku, ale w niedzielę rano wdziewali czyste ubrania i udawali się na mszę do kościoła zielonoświątkowców. Przed domem mieli wielki napis *BIENVENIDO* i trzeba podkreślić, że szli za tym wezwaniem – w każde wtorkowe popołudnie, jak w zegarku, otwierali drzwi swej rezydencji przed maluchami z sąsiedztwa.

– Kto chce pogłaskać Triggera? – rzucała wesoło Dale pod adresem gromadki umorusanych urwisów.

Głupie pytanie. Każdy chciał dotknąć najslynniejszego konia na świecie. Zwierzę nie miało nic przeciwko, niby czemu. W końcu od kilku lat już nie żyło. Gdy Trigger odszedł do krainy wiecznych popasów, Roy i Dale kazali wypchać jego truchło i postawić na piedestale w hallu. Podobny los spotkał Walta Disneya. Całe szczęście, że w porę zrezygnowano z usług taksydermisty. Zamiast wypchać wielkiego sąsiada, odcięto mu tylko głowę i schowano ją w lodówce. Cóż, taka lokalna tradycja.

– Jestem Kaczor Donald, a to mój ojciec, tam za kartonem z jogurtem.

Ojciec mojej Kathy, Joe, był sprzedawcą. Pracował w lokalnym oddziale nowojorskiej firmy odzieżowej z branży bieliznianej. Gdy go poznałem po latach i spytałem co robi, odparł szczerze:

– Pracuję w damskich majtkach.

Moja teściowa, w latach swej świetności popularna modelka, poruszała się swobodnie w świecie wielkiego show biznesu. Zabierała swe dzieci na wszystkie castingi. Jeszcze nie sięgały głową blatu, a już sprzedawały samochody, lalki, farby do włosów. Na ich uśmiech cała Ameryka waliła tłumnie do sklepów.

- Zaszługujesz na chwilę wytchnienia - ruszała ustami moja przyszła żona do wtóru piosenki Barry'ego Manilowa, prezentując się uroczo w papierowym kapelusiku z logiem McDonald'sa.

- Łap, O.J. - wołała do O.J. Simpsona, rzucając mu klucze z przywieszką od Hertza na parkingu lotniska w Palm Springs.

Pomyśleć tylko, że ten drobny epizod zaważył na przyszłości całej Ameryki. Gdyby O.J. nie złapał tych kluczy i nie wrócił wynajętym samochodem do Los Angeles, nie trafiłby na pierwsze strony gazet. Trudno uciekać przed pościgiem policyjnym bez kluczyków.

Ostatecznie Kathy trafiła do ESPN i została pierwszą kobietą w historii stacji prowadzącą wiadomości na żywo. Potem przeszła do NBC do Waszyngtonu. Tam właśnie wypatrzyłem ją w kantine i powziąłem uroczyste zobowiązanie, że nie spocznę, póki nie zaproszę jej na randkę. Po kilkunastu żalonych próbach udało mi się złamać jej upór. Zgodziła się z litości, ma dobre serce. Po randce, na odchodnym, oznajmiłem jej, że wkrótce zostanie moją żoną. Uznała mnie za kompletnego idiotę, ale życie często przerasta nasze oczekiwania. Po pięciu miesiącach byliśmy małżeństwem, a po dalszych czternastu błagała mnie ze łzami w oczach, żebym wyprosił u pielęgniarki dodatkową dawkę leków przeciwbólowych. Żywe wcielenie Chatty Cathy miało już wkrótce zostać mamą. Niech ktoś zadzwoni po ekipę z wiadomości.

Tak oto wróciliśmy do dnia narodzin naszego pierwszego dziecka. Po wpisaniu na oddział Kathy trafiła do ponurej sali spowitej bladym światłem jarzeniówek. Dostała białą koszulę zawiązywaną na plecach, ale z racji pozrywanych troczków należałoby ją raczej określić mianem fartucha roboczego. Spytaliśmy lekarza, co nas czeka. Odparł, że z pierwszym porodem bywa różnie: czasem idzie jak z płatką, czasem jak po grudzie. Na wszelki wypadek zaordynował końską dawkę medykamentu, który miał w zamyśle twórców otwierać jakieś

tajemne zapadki w drogach rodnych. W teorii, bo w praktyce lek nie wywarł na Kathy żadnego wrażenia. Najwyraźniej była odporna na oksytocynę. Siedzieliśmy zatem i czekaliśmy Bóg wie na co. Spokojni niczym Amy Winehouse przed pierwszym drinkiem.

- Może powinniśmy pomyśleć o lokacie na studia? - spytała Kathy słodkim głosem pani z reklamy banku.

- Nie teraz, kochanie - odparłem bagatelizując potęgę przyrostową odsetek łącznych w funkcji czasu. - Podasz mi „People”? Mam ochotę na krzyżówkę.

Gromi zębaczy na pięć liter?

BUFFY, dopisałem starannie w kratkach, prostopadle do czyjegoś wpisu o treści *BAŁWAN*. Żonę wezwano na kolejną sesję badań. Przechadzając się po korytarzu, minąłem poczekalnię pełną zatroskanych tatusiów i zacząłem się zastanawiać, co przechodzili moi rodzice niemal dokładnie trzydzieści lat temu. Rodzinne przekazy ustne skrzętnie udokumentowały trzydzieści sześć godzin akcji porodowej poprzedzającej moje przybycie na świat. Jeszcze godzina lub dwie i moja mama miałyby szansę na wpis w Księdze Guinnessa.

Osiemnaście miesięcy po ślubie moich rodziców, po miesiącu miodowym w Wisconsin, utrwalonym w kronikach rodzinnych stosem rachunków i menu z każdej odwiedzonej knajpki, przyszedł czas na owoc pierwszego afektu, czyli mnie. O drugiej nad ranem, 19 października, moja mama usłyszała od lekarza - jedyne go położnika w jedynym szpitalu w mieście - że nie kwapię się na ten padół, bo utknąłem gdzieś między Panamą a wylotem dróg rodnych. Moje tętno było pod czerwoną kreską, więc dobry pan doktor musiał pomóc naturze. Uczynił to korzystając z narzędzia, które przypominało gigantyczne szczypce do sałatki.

A mój ojciec? Gdzie był w tej krytycznej chwili? Nie było go w sali porodowej, nie było go w szpitalu, w mieście, stanie, nawet w kraju. Na osiem miesięcy przed moimi narodzinami

dostał ofertę nie do odrzucenia. W ofercie było pełne zatrudnienie, obietnica ciekawej pracy, podróże, darmowy wikt i modna odzież robocza. Plus farby do kamuflażu. Otrzymał zaciąg do armii. Po podstawowym przeszkoleniu, gdy podoficerowie upewnili się, że potrafi wymierzyć właściwy koniec strzelby w kierunku wroga, ojciec otrzymał bilet do Stuttgartu w Niemczech. Misja? Dopilnować, by krewcy robotnicy z fabryki Mercedesa nie sięgnęli po władzę nad światem w przerwie na lunch.

- Dieter, natychmiast odłóż tę bombę i wracaj montować silniki Diesla.

Ojciec ujrzał mnie po raz pierwszy, gdy byłem już półtorarocznym berbeciem. Uznał mnie z miejsca za urocze dziecko. Ma się rozumieć. Metry szczęsienne brudnych pieluch, nocne wrzaski i napady gruźliczego kaszlu miałem już za sobą.

Winą za to, że mego ojca nie było przy porodzie, obarczać należy Pentagon i opieszłych szeregowców z oddziałów łączności, którzy zapodziali notkę wieszczącą moje przyjście. Ale i bez tego niewiele by się zmieniło. W owych czasach udział tatusia w akcji porodowej był nie do pomyślenia. Facet przywoził żonę do szpitala, parkował samochód i czekał na wieści, odpalając papierosy jeden od drugiego. Przewijamy trzydzieści lat w przód i oto jestem: przyszły tatuś, nie tylko w sali porodowej, ale i w roli osobistego trenera żony. Nie na darmo towarzyszyłem jej w niezliczonych sesjach szkoły rodzenia, w mrocznych kruchtach kościołów i w piwnicach ośrodków sportu i rekreacji. Techniki oddechowe. Uwaga, wyznam wam prawdę w największym sekrecie: to jedno wielkie oszustwo. Nie działa. Pilnowałem, by Kathy oddychała i dmuchała dokładnie zgodnie z instrukcją, a mimo to w nielicznych okresach remisji moja żona wyznawała ze łzami w oczach, że czuje się tak, jakby rodziła cadillaca.

Cyniczna strona mojej duszy podpowiada mi, że ćwiczenia oddechowe wynaleziono specjalnie po to, by dać zajęcie

sfrustrowanym rodzicom. Niech angażują aparat oddechowy absurdalnymi, acz nieszkodliwymi czynnościami, zamiast zawracać głowę nieustannym: „Panie doktorze to, panie doktorze tamto”. Zawodowcy nie lubią, gdy laicy przerywają im trud cierpliwego oczekiwania na naturalny obrót spraw. Mojej żonie te ćwiczenia napowietrzające na pewno nie pomogły. Jeśli mógłbym wtrącić swoje trzy grosze, radziłbym raczej zainstalować w salach najnowsze konsole i odpalić *Guitar Hero*. Odwróciłoby to uwagę zestresowanych rodziców na tyle skutecznie, że zapomnieliby o bólu i niepokojach. Nabij 75 tysięcy punktów przed końcem akcji porodowej, a dostaniesz darmową repetę deseru i tęczowy szew po cesarce.

W trzysta godzin po naszym przybyciu do szpitala położna stwierdziła niepokojący spadek tętna płodu. Personel szpitala stanął w pogotowiu, obawiając się najgorszej komplikacji – procesu sądowego z powództwa cywilnego. Po krótkich i gorączkowych konsultacjach, prowadzonych stłumionym szeptem w kącie gabinetu, dokonano komisyjnego otwarcia szafki narzędziowej. Lekarz prowadzący dobył z niej parę gigantycznych szczypiec do sałatki. Ich widok poruszył czułą strunę w moim sercu. Moje dziecko idzie w ślady ojca – podadzą je na talerzu tak jak mnie trzydzieści lat temu. I w tym samym kolorze – z cerą barwy kałesonów Supermana.

Oto *najszczęśliwszy moment mojego życia*. Peter James, mój pierworodny i spadkobierca mojej fortuny, przybył na świat w formie dość niepozornej, ważąc 3,49 kilo. Gdyby stanął wówczas na nogach, mierzyłby 55 centymetrów, ale nie wymagajmy zbyt wiele od dziecka w pierwszych godzinach życia. I tak umiał już sporo: leżeć, drzeć się wniebogłosy i wyglądać słodko. W pierwszym odruchu macierzyńskiej troski Kathy dobyła zza pazuchy coś, co wyglądało jak skarpetka dla lalki, a w praktyce okazało się być czapeczką w modnym kolorze baby blue, uroczo podkreślającym fioletową karnację z lekka podduśzonego potomka rodu Doocy.

- Zawiniemy go teraz w pieluszki i wstawimy pod lampę - zaszczebiotała położna.

Po chwili mój syn leżał spowity ciepłym blaskiem urządzenia, które u McDonalda służy do utrzymywania właściwej temperatury smażonych na zapas frytek. Brakowało tylko solniczki. A i ja pławiłem się błogo w blasku świeżo upieczonego ojcostwa, zadowolony, że nareszcie będę miał z kim oglądać mecze wrestlingu w piątkowe wieczory. Stojąc tak, potrzebny niczym wieszak na basenie, mimo woli podsłuchałem rozmowę lekarza z położną. Dyktował jej dane do karty, podając także wynik testu Apgar, którym, jak zdążyłem się przyuczyć, ocenia się kondycję fizyczną noworodka. Im bliżej dziesiątki, tym lepiej.

- Dziewiątka - mruknęła siostra położna. - Całkiem całkiem.

Pierwszy test i już celująco! Moja krew!

Później, na korytarzu, stojąc przy automacie do kawy, spotkałem innego szczęśliwego ojca, który chełpił się wynikiem swojego syna.

- Siódemka, uwierzysz pan?

- Gratuluję - odparłem nieszczerze. - Znakomity rezultat - nie miałem serca burzyć jego radości, choć z całej duszy pragnąłem uzmysłwić mu, by zapomniał o Harvardzie i jeszcze dziś wypełnił dziecku aplikację do szkoły cyrkowej, bo katedra klaunów ponoć oblegana.

Pojawił się inny problem. Poczta pantoflową dotarła do nas wieść, że tydzień wcześniej w jednym ze stołecznych szpitali wprowadzono noworodka z oddziału. Teraz więc, nie musząc już obawiać się o zdrowie dziecka, mogliśmy z żoną na spokojnie oddać się kontemplacji nowego zagrożenia. Jak przystało na dobrych rodziców, popadliśmy w nową histerię. Gdzieś w mrocznych korytarzach szpitalnego kompleksu czyha podły drań i dybie na swobody obywatelskie naszej smerfoskórej dzieciny. Nie było rady, dzieciątko Peter James musi zostać w pokoju z panią Doocy; sala noworodków nie wchodzi w rachubę. Któreś z nas, rzecz jasna, musi stale czuwać przy

kołysce. Głosy w mojej głowie szeptały coś o paranoi, ale moja żona była święcie przekonana, że jakiś nowy Bruno Hauptmann* krąży w okolicy w swym minivanie, z rozkładaną drabiną na dachu.

- Jedź do domu i prześpij się - rzekła Kathy, nadstawiając policzek.

Ucałowałem gorąco obie uprawnione podstawy moich odliczeń podatkowych i poszedłem za jej radą. A dokładniej - zamierzałem pójść. W domu, nakręcony adrenaliną, złapałem za słuchawkę, by podzielić się dobrą nowiną z całym światem. Rodzice, teściowie, rodzeństwo własne i żony, dalsza rodzina, przyjaciele, trener szkoły rodzenia... Na szarym końcu listy znaleźli się koledzy z pracy.

- Co ty jeszcze robisz w domu, brachu? Musimy to oblać - wykrzyknął najlepszy przyjaciel, z którym nie tak dawno świętowałem narodziny jego syna.

Mój ojciec opowiadał, że gdy dotarła do niego wiadomość o moim przybyciu na świat, całą kompanią zajęli ogródek piwny w strategicznym centrum Stuttgartu i przystąpili do akcji, która każdej armii wychodzi najlepiej - zdobywania przyczółka przy barze.

- Nie da rady, o szóstej rano muszę być na wachcie - nawet w moich uszach brzmiało to jak wierutne łągarstwo.

- Jeden drink - nalegał.

Fakt, jeden głębszy na pewno pomoże mi zasnąć. Zresztą, jak człowiek dostanie Oscara albo Nagrodę Nobla, to przecież nie wbija się w kapie popijając kefirek przed telewizorem.

- No dobrze, ale przed dwunastą się zmywam.

Po drodze kolega wstąpił jeszcze po szefa. Doskonały manewr, dzięki niemu będę miał polityczne zaplecze w ewen-

* Niemiecki imigrant, skazany na śmierć za porwanie i zabójstwo 22-miesięcznego Charlesa Lindbergha juniora (1932), syna pilota wsławnego pierwszym samotnym lotem przez Atlantyki.

tualnym sporze, gdyby żona dowiedziała się przypadkiem, że szlajam się po knajpach podczas gdy ona stoi z obrzynem na warcie przy łóżeczku przyszłego prezydenta Stanów Zjednoczonych. Na miejsce ceremonialnych obrządków oblewania kolega wybrał bar, w którym – jak zapewniał przez telefon – bywają wielcy tego świata: lobbyści, kongresmani, senatorowie, nawet sam burmistrz Waszyngtonu.

Przed drzwiami knajpy ogarnęły mnie na nowo wątpliwości. Czy mogę z czystym sumieniem iść na balangę, gdy moja żona czuwa przy dziecku, w świetle jarzeniówki, w oparach chloroformu, święcie przekonana, że lada chwila wpadnie zły człowiek zabrać jej syna, mimo że już dawno po godzinach odwiedzin? Ale największe wyrzuty sumienia budził we mnie fakt, że staliśmy przed klubem... ze striptizem!

– Najlepszy lokal w mieście – zapewniał kolega. – Jak powiesz, że dzisiaj zostałeś tatą, dostaniesz rabat na prywatny taniec.

Prawdziwa gratka dla każdego maniaka pornografii, który liczy się z wydatkami. A jeśli ktoś, jak ja, nie należy do tego grona? Grona maniaków, a nie oszczędnych i zapobiegliwych, ma się rozumieć. Ale miałem za sobą naprawdę długi i ciężki dzień. Trzeba uzupełnić płyny, zresztą przecież Kathy nigdy się nie dowie, bo i skąd? Nasz szef wdał się tymczasem w negocjacje z bramkarzem, ustalając wysokość opłaty uiszczanej tradycyjnie przez tych, którym zamarzy się oglądać obce osoby bez odzieży wierzchniej. Byłem mu wdzięczny za ten drobny gest, chociaż wiedziałem, że i tak wpisze to sobie w koszta pod rubryką biznes lunch.

W środku panował mrok i nieopisany harmider. Przepona dudniła w takt muzyki. Stolik dobraliśmy pod kątem dobrego widoku na scenę – póki co, pustą. Kelnerka podeszła do nas rozkołysanym krokiem. Miała na sobie strój cheerleaderki – najwyraźniej po młodszej siostrze. Młodszej i zdecydowanie chudszej...

- Co podać, chłopcy? - wrzasnęła, przekrzykując muzykę.

Gdyby kiedyś straciła posadę, mogła śmiało zatrudnić się na lotnisku. Wywoływałyaby pasażerów do odprawy. Bez mikrofonu.

Mój tajny plan poprzestania na jednym spelzł na niczym. Dwa drinki na głowę albo do widzenia. Zamówiłem podwójną czystą. W knajpie, gdzie papier toaletowy przydaje się do owijania kurka zlewu w toalecie, odkażające właściwości wysokoprocetowego płynu są nie do pogardzenia.

Akurat gdy sięgałem po drinka, w barze zapadła cisza, a po sekundzie rozległo się wycie syren. Ściany rozbłysły migotliwym światłem. Czerwono. Niebiesko.

Rewelacja. Moja pierwsza wizyta w lokalu dla dorosłych musiała zakończyć się rajdem policji. Jutro w „Washington Post” pojawią się nasze zdjęcia. „Prezenter wiadomości złapany z ręką w rozporku!” Tuż obok artykułu o narodzinach syna sławy, okraszzonego fotką Kathy, slaniającej się ze zmęczenia, czyhającej na porywacza z wielką patelnią w ręku. A pojutrze? Zdjęcie z procesu - świeżo upieczony tatuś z potężnym guzem na czole.

W sytuacji zagrożenia życia człowiek staje do walki lub ucieka. To naturalny odruch. Ja należę do tych, co z miejsca biorą nogi za pas. Zerwałem się z krzesła, ale nikt nie szedł w moje ślady. Reszta gości śmiała się i klaskała. Co, u diabła? Czyżbym był jedynym, który nie łoży hojnie na fundusz dla wdów po policjantach?

Rozejrzałem się bacznie po sali - jedyny mundur w zasięgu wzroku miała na sobie młoda dama na scenie. W dodatku niekompletny. Zmęczenie, adrenalina, czysta wódka plus brak obycia - przez ten szatański koktajl nieomal wyszedłbym na durnia. Nie było żadnego rajdu. Jeśli czyta mnie teraz jakiś reporter z brukowca, powtórzę z całą mocą: obyło się bez kaucji.

Po policjantce, jak na ironię, na scenie pojawiła się pielęgniarka. Wyglądała kropka w kropkę jak owe dwa i pół tuzina personelu medycznego, którego krzątanie obser-

wowałem od rana w szpitalu. Przynajmniej na początku występu. Na szyi miała stetoskop, machała nim jak pierzastym boa. To ci dopiero fachowiec – nie dość, że roztacza wokół erotyczny wdzięk, to jeszcze potrafi, gdy zajdzie potrzeba, zdiagnozować nagle migotanie komór. A o tę przypadłość nietrudno, gdy człowiek nieopatrzony.

Dbając o stan swego serca, przeprosiłem obecnych i ruszyłem w poszukiwaniu toalety. Na tyłach lokalu ze zdumieniem odkryłem suto zastawiony stół szwedzki. Niepomny ostrzeżeń o zagrożeniach bakteriologicznych w lokalach podejrzanej konduity, rzuciłem się na jadło. Na widok sałatki z kukurydzą zawsze tracę wszelkie hamulce – dzieciństwo w Kansas zobowiązuje. Sięgnąłem po styropianową tackę, dla spokoju duszy – ze spodu stosu, i nałożyłem sobie potrójną porcję kukurydzy. Wielkimi szczypcami do sałatki.

Gdy wróciłem do stolika, po pielęgniarsce został tylko czepek z czerwonym krzyżem. Jej miejsce zajęła francuska pokojówka, gotowa wypucować swymi piórkami wszystko co pan zażąda, byle nie kurz.

– Muszę iść – oznajmiłem kompanom, ale nie wyglądali na załamanych tą wieścią. Oczy jarzyły im się silikonowym blaskiem.

Nazajutrz, punkt szósta rano, stawiałem się karnie w szpitalu. Kathy siedziała na łóżku, tuląc syna do piersi.

– Nie przespałam ani minutki – westchnęła, podając mi dziecko ostrożnie, jak przystało na największy skarb. – Muszę wziąć prysznic, zanim się przewrócę. A co u ciebie? Co robiłeś wczoraj?

– Nic szczególnego. Byłem w domu – odpowiedziałem, zasadniczo zgodnie z prawdą.

Wszak byłem w domu, zanim wybrałem się do miasta. I nie robiłem nic szczególnego, jeśli pominąć konsumpcję sałatki okraszonej suto kukurydzą, pałeczkami okrężnicy i gronkowcem złocistym, dokonaną potajemnie na tyłach podejrzanej instytucji.

Wszystko prawda, choć nie *cała*. Czułem się chory, zupełnie jak po całonocnym maratonie filmów z Seagalem.

Koło południa Tommy Jacamo, przyjaciel z restauracji Palm, przysłał nam potężnego homara z wody. Potwór ważył ze trzy i pół kilo – mniej więcej tyle co mój syn – i był z gatunku tych skorupiaków, które wysysają forszę z kieszeni bogatych naiwniaków. Właśnie oblizywaliśmy palce po posiłku, gdy w drzwiach stanął... no kto? Facet, którego zostawiłem wczoraj na łasce drapieźnych kurtyzan. Dzierżył w łapie tani wiecheć i szczyrzył zęby szelmowsko. Ach, jaki miły gest. Z mrocznych otchłani skacowanego umysłu wygrzebał najbardziej wyszukany komplement, na jaki było go stać pod adresem znikanej połogiem matki:

– Ale ma włosy, czarne jak smoła. Wygląda jak Wietnamczyk.

Oczy mojej żony też nagle pociemniały. Burza wisiała w powietrzu. Następna uwaga z ust gościa była już tylko formalnością:

– Opowiedziałeś jej już o striptizie?

– *Striptizie?*

– On żartuje – wybelkotałem, gorączkowo szukając nowego tematu.

Za późno. Na metalowych ramach łóżka pełgały iskierki wyładowań.

– Najdroższy lokal w mieście. Steve, jak tam głowa?

Miał szczęście, że byliśmy w szpitalu. Jeśli go teraz uduszę i wyrzucę przez okno, ktoś go zaraz znajdzie i odratuje. Pod warunkiem, oczywiście, że ma przy sobie ważną kartę z ubezpieczalni.

– Czy dobrze słyszę, że zostawiłeś mnie samą przy dziecku, w tym dzikim upale, po piętnastu godzinach akcji porodowej, z porywaczem na głowie, żeby się bawić w *knajpie z gołymi panienkami?*

– Najlepiej przepuścić. Żałuj, że nie zostałeś dłużej.

Co ten typ wyprawia? Może jest w ciężkiej depresji i szuka okazji, by ktoś targnął się na jego życie, bo sam nie ma odwagi

sprostac zadaniu? A moze to jakis spisek? Moze zaraz z szafy wyskoczy ekipa z ukryta kamera i wszyscy bedziemy sie smiac, klepac po plecach i bic brawo?

Na oddziale porodowym zapadla niezdrowa cisza. Kandydat na nieboszczyka pokrecil sie chwile po pokoju, postukal paluchem w koszyk ze spiacym maleństwem, probujac je obudzic - na szczescie bez powodzenia. Upewniwszy sie, ze skutecznie zniszczyl moje malzenstwo, pozegnal sie i wyszedl.

- Chyba nie byla na mnie wsciekla, co? - zagadnal mnie w kilka dni pozniej.

- Nie, cos ty - odparlem, zastanawiajac sie, czy mozna kogos udusic spojrzeniem.

Na mnie byla. Ale byla na tyle zaprzatniena noworodkiem, ze juz jej nie starczylo sil, by martwic sie jeszcze drugim, duzym dzieckiem. Ale przez nastepne dwa tygodnie poczte przegladalem z biciem serca, wypatrujac kopert z nadrukiem kancelarii adwokackiej.

Łatwo jest zostac ojcem, niełatwo nim byc. Sam akt narodzin nie czyni ojcem - tej sztuki trzeba sie uczyc przez reszte zycia. Nie pomoze tu zadna inteligencja, potrzeba wiedzy. Te pierwsza lekcje ojcostwa zapamietam do konca zycia. I choc od tamtego zdarzenia minelo dwadzieścia lat, moge z ruka na sercu powiedziec, ze to byl ostatni raz, kiedy bawilem w lokalu erotycznym. Pani, ktora zatrudniam do pomocy w domu, nie zna slowa po francusku. Wprawdzie angielskich tez niewiele, ale za to ma piecioro wnuczat.

Chyba nie musze dodawac, ze moj taktowny znajomy nie zostal zaproszony na oblewanie urodzin kolejnego dziecka. Zreszta Mary przyszla na swiat 1 listopada, w Dzień Wszystkich Świętych - czuje w tym palec bozy. Wiadomo, ze w dni wolne od pracy szczególnie trudno zarezerwować dobry stolik.

Najmlodsza corka, Sally, urodzila sie w lipcu, tak jak Peter. W godzine po tym zdarzeniu stalismy wszyscy czworo przy lozeczku i spiewalismy *Happy Birthday*. Mary miala juz trzy

lata i potrafiła skupić uwagę na młodszej siostrze przez całą minutę, po czym obwieściła wszem i wobec, że musi zrobić siusiu.

Nie było jej przez dłuższą chwilę. Gdy wreszcie drzwi łazienki otworzyły się przy wtórze nerwowych chichotów, ujrzeliśmy ją na środku szpitalnej sali, naga jak do rosółu. Wiem, że tym aktem próbowała odzyskać uwagę dorosłych, ale wzbudziła tylko ogólną wesołość.

- Ubierz się, skarbie, bo Republikanie patrzą - śmiała się moja żona.

Było to za czasów pamiętnego Paktu dla Ameryki, promowanego głośno przez Newta Gingricha w Izbie Reprezentantów.

Czując się w obowiązku dorzucić jakiś żart, palnąłem bez namysłu i bez smaku:

- Niech ktoś zabierze ten stojak do kroplówek, bo gotowa chwycić za rurę.

Przypominanie żonie faktu, że nie jest to pierwsza nagość, której byłem świadkiem w dzień narodzin potomka, okazało się głupim pomysłem. Za karę wysłuchałem tysięcznej i pierwszej litanii o incydencie z 1987 roku.

Nigdy się tego nie nauczę, pomyślałem w duchu. W kółko ta sama śpiewka - a czegoż się spodziewać, jeśli ktoś postanowił związać się z Chatty Cathy?